

## Kozakowski Andrzej

### Nie będziesz sam

Z „*Science Fiction*” nr 10 – listopad 2001

Łańcuchy puściły nagle. Z łomotem zwałił się na kamienną podłogę. Syknął z bólu i zaczął rozcierać pokaleczone nadgarstki. Było nienaturalnie cicho. Coś ciężkiego wisiało w powietrzu, coś, co umykało oczom, ale było prawie namacalne i dobrze wyczuwalne oddechem i skórą. Uświadomił sobie, że mimo iż nie było zimno, całe jego ciało pokrywała gęsia skórka. Odkasznął; po małej, pustej salce nie rozeszło się żadne echo. Przeszedł go lodowaty dreszcz, nie wiedział czego bardziej, obrzydzenia czy strachu. Zauważył, że pomieszczenie wypełnia, ledwie dostrzegalna, czarna mgła. Chciał odruchowo odegnąć sprzed oczu zwisającego z sufitu pająka, który nie usiłował nawet uciekać. Nie był pająkiem. Metr nad podłogą wisiała, zatrzymana w połowie drogi ku podłodze, kropla wody. Zaczął krzyczeć.

Zasuwa pękła bezgłośnie, nie stawiając żadnego oporu. Bez wysiłku otworzył ciężkie, okute metalem drzwi. Wyszedł na korytarz. Oba jego końce ginęły w mroku. Na ścianie naprzeciwko jego celi grubymi czarnymi kreskami wyrysowany był jakiś symbol. Przyjrzał mu się uważnie, ale nie znalazł jego odpowiednika w swojej pamięci. To boleśnie przypominało mu, że nie wie, skąd się tu wziął, ani co to za miejsce. Jak przez mgłę pamiętał luźno wyrwane obrazy z przeszłości. Czas uwięzienia, niezliczone tortury, którym był poddawany. Odruchowo spojrzął na swoje ręce. Nie było na nich nawet śladu blizn, chociaż zdawał się pamiętać okropny ból wyłamywania stawów i przypalania rozżarzoną żelazem. Jeszcze raz spojrzął na symbol, a po chwili na podłogę. Pod ścianą leżała duża gruda czarnej kredy. Podniósł ją, pasowała do jego dłoni. Gęsia skórka ciągle nie ustępowała.

Cele były rozmieszczone po jednej stronie korytarza, co dwadzieścia dziewięć kroków. Wszedł do pierwszej z nich, umieszczonej na lewo od swojej. Drzwi ponownie nie stawiały żadnego oporu. Wewnątrz, na prycy, leżał półnagi mężczyzna w nieokreślonym wieku. Nie ruszał się. Czas zastygł także dla niego. Wyglądało na to, że wchodzący jest jedyną istotą zdolną do ruchu i działania. Podeszedł do nieruchomego więźnia i spojrzął w jego półprzymknięte oczy. Czerń wokół wyczuwalnie zgęstniała. Nagły dreszcz przeszył ciało stojącego człowieka. Dreszcz przypomnienia. Małe nagłe olśnienie, biegnące drżeniem podniecenia od łądźwi do czubka głowy, momentalnie stawiające włosy dęba - wiem! wiem! wiem, co mam robić! Przykucnął, mocno przycisnął czarną kredę do kamiennej posadzki i zaczął rysować. Pierwszy okrąg był dość koślawy, lecz szybko go poprawił. Po kilku kolejnych kreskach ręka przestała mu dygotać.

To wyszło jak mgła, pasmami cienkimi i długimi jak węże, z kamienia, spod Znaku. Wbiło mu się w pięty, rozdzierającym bólem przeszło wyżej, wyszło łydkami, by na zewnątrz okrążyć ciasnymi spiralami kolana, wbić się w uda, spleść wokół wnętrzości, wyjść łądźwiami, wypalić piekielnym żarem swój symbol na plecach, wejść w stawy barkowe, wyjść poniżej łokci i spiralnie podążyć do nadgarstków, owijając mu się wokół wskazujących palców. Ból był ogromny, choć sprawiał mu jednocześnie ogromną przyjemność. Stał się Tym, To złączyło jego dłonie silnym klaśnięciem i dopiero wtedy oddzieliło się od Znaku na podłodze. Otworzył usta, ociekające krwią z przegryzionych warg, i spojrzął na swe ciało. Przenikała go i otaczała sama esencja pulsującej czerni, wypełniała luki w jego pamięci, w jego zagubieniu i wątpliwościach. Stał się istotą kompletną. Wyszedł ze Znaku. Poczł setki, tysiące, miliony otaczających go żywych istot, a pierwsza z nich leżała tuż przed nim.

Przecięta równo tuż poniżej nosa, niby najostrzejszym mieczem, głowa więźnia wlepiła w niego swoje prerażone oczy. Pozwolił jej przez chwilę podążać razem ze sobą w jego strumieniu czasu, by uchwycić ten jeden błysk największego strachu, wypełniającego martwe już teraz oczy. Starym siennikiem dokładnie i metodycznie usunął z podłogi pozostałości kredy. Regularnie ułożył w tym miejscu wnętrzości swojej pierwszej ofiary. Równoboczny trójkąt, a w środku połowa czaszki, tak, ten wzór był mu bliski. Wyszedł z celi. Otaczające go zewsząd iskierki życia świeciły w jego umyśle jasno i wyraźnie, otwierając przed nim nowe, całkowicie nieludzkie zmysły. Czarne spirale wystające z jego przedramion przeciągnęły się jak głodny wąż. Krew ofiary, którą były pokryte, wsiąknęła w jego dwoiste ciało. Poczł się silniejszy. I bardziej głodny.

Dwieście odebranych istnień później, kiedy był pewny, że ból rozkoszy rozsądzi jego czaszkę, czerń powoli go opuściła. Wsiąknęła w kamienną posadzkę, nie pozostawiając po sobie żadnego materialnego śladu. Stał na korytarzu sam, obryzany krwią swoich ofiar i swoją własną, wypływającą z ran pozostałych

po wyjściu Tego. Czuł się podobnie jak ktoś po zabiegu akupunktury, kiedy ból wystających igieł staje się czymś normalnym, a ich nagłe usunięcie powoduje sekundowe uczucie głodu, porównywalnego z narkotycznym. Był najsamotniejszą istotą we wszechświecie. Był znowu tylko człowiekiem. Człowiekiem w obcym więzieniu, pełnym podobnych mu ludzi, nie znającym ani przyczyny, ani celu. Jak większość z nich. Więźniem, który zabił innych więźniów, mordercą. Nie było mu z tym źle. Oblizwał wargi i uśmiechnął się. Na krótko.

Kilometry korytarzy, niekończące się spirale schodów, ucieczka przed powracającym echem własnych kroków. I czerń, która dogoniła go znowu, tuż przed główną bramą. I ból głowy, który nieco zelżał i zmienił się w zrozumiałą głosi Nadchodzące w rytmie uderzeń serca słowa: „...dobrze ...nagrodę ...wydostał”. Strażnicy leżeli na ziemi, z ich uszu i oczu nienaturalnie powoli sączyły się strumienie krwi. Z całych sił naparł na bramę. Otworzyła się powoli, z metalicznych zgrzytem.

\* \* \*

Czerń nie pojawiła się więcej. Dwa miesiące ucieczki. Zszedł sam i bez broni z gór i żył. Dowłókł się do wioski, gdzie zaopiekował się nim jakiś chłop. Przemywał jego rany i dawał jeść. Może robił to ze strachu, nie wiedząc, kim jest ranny, a może z prawdziwej litości. Ocalony przedstawił mu się jako Korren de Brignac, pan na pięciu wsiach z regionu Trzech Rzek, zdradzony i podstępnie zaatakowany przez towarzysza podczas polowania na niedźwiedzie w górach. Taką tożsamość wykoncypował sobie jeszcze w drodze., Wymyślona pozycja była na tyle wysoka, by chłopci trzymali się z daleka, i na tyle niska, by nie była warta sprawdzenia przez szlachtę. Przekonał chłopca, by nie mówił nikomu o tym, że przeżył, bo tak będzie mu łatwiej dotrzeć do domu i wykazać wszystkim niktzemność i zdradę jego konkurenta do ręki pani Adrielli, najpiękniejszej damy w królestwie, oczywiście zaraz po królowej. Po wyzdrowieniu pomieszkał u swojego wybawiciela jeszcze kilka dni, obiecując mu w zamian za opiekę dobrego konia do pług i drugiego pod wierzch.

Jedna rzecz nie dawała mu tylko spokoju w tym chłopskim obejściu. Namazany niedbale nad drzwiami stodoły symbol ochronny. Widać było, że jest częściowo zatarty, a pod nim znajduje się drugi, dużo starszy. Oba budziły w nim jakieś odległe wspomnienia. Oba też- na pewno były symbolami sił, z którymi na razie wolał się nie mierzyć. Jednocześnie żaden nie napawał go strachem. Korren postanowił rozwiązać ten problem później, czuł bowiem, że na pewno jeszcze tu wróci. Wypytał chłopca o okolicę i udał się pieszo do Naparstka Fiorri.

\* \* \*

Miasto rozłożone było na przełęczy, między górami Szpikulec i Odwaga Pięciu. Zamykało jedyną naturalną drogę przez góry i wyznaczało południową granicę królestwa. Warunki naturalne czyniły z niego niezdobytą fortecę. Powinno tam mieszkać dobre parę setek ludzi, w tym sporo silnych wojowników. Wzdrygnął się na sam sposób, w jaki o nich pomyślał. Jak o swoim pożywieniu, tak jakby już byli martwi. Resztką człowieczeństwa przez chwilę usiłowała upomnieć się o swoje prawa. Kolejny raz przegrała. Blizny, znajdujące się w miejscach, skąd wyszło Tamto, zaczęły go swędzieć.

Pomiędzy pokrytymi śniegiem szczytami wschodziło słońce. Miało niespotykany o tej porze roku kolor, wpadający z czerwieni w purpurę. Przed wschodnią bramą stało kilkanaście wozów wyładowanych towarami. W chwilę po opuszczeniu mostu strażnicy sprawnie zaprowadzili porządek wśród oczekujących. Korren de Brignac był jednym z nielicznych pieszych. Stał spokojnie na końcu i czekał na swoją kolej. Dwie godziny później wkroczył na pełen ludzi rynek. Znalazł kawałek wolnego miejsca, tuż koło rynsztoka, wyjął z kieszeni czarną kredę i zaczął rysować.

W samym mieście zginęło ponad tysiąc osiemset osób. Wszystkie, prócz jednej. Dazella Brownreedle stała przerażona, wciśnięta w kąt sali jadalnej kupieckiego domu. Przy drzwiach leżała jej macocha, rozszarpana niesamowitymi, czarnymi pazurami tego, który zniszczył miasto. W oczach ocalałej dziewczyny czaiła się histeria. Nie wybuchła krzykiem tylko dlatego, że strach zatkał jej gardło. Była najstarszą, choć przybraną, córką szanowanego w mieście kupca, handlującego winem. Miała dwadzieścia lat, była wysoka i szczupła. Miała drugie, ciemne, falujące, opadające na ramiona włosy i duże niebieskie oczy. Z większej odległości ktoś mógłby pomylić ją z młodym chłopakiem, pokroju tych, co rozweselają gawiedź, tańcząc na rozwieszanej nad rynkiem linie. Jej matka zmarła przy porodzie, a Dazella była jej jedynym dzieckiem. Stała teraz twarzą w twarz ze śmiercią we własnej osobie. Tak się jej przynajmniej wydawało. Człowiek przedstawiający się u bram miasta imieniem Korren de Brignac nie był Śmiercią, był tylko jej ulubieńcem.

Podszedł kilka kroków, zatrzymał się i spojrzał na nią. Zaczął kiwać głową płynnie na boki jak tańczący wąż. Wysunął ku niej ręce i w tym momencie wystrzeliły z nich struny ciemności, jednocześnie prostując się na jego ciele, czym wywołały nienaturalny przykurcz nóg. Czarne linie dopadły jej nadgarstków, owinęły się wokół nich i rzuciły dziewczyną o podłogę, ciągnąc jednocześnie ku niej mężczyznę. Dazella dopiero teraz zaczęła krzyczeć, jej oczy zaczęła pokrywać mgła szaleństwa. Gdy ich ciała zetknęły się ze sobą, ciemne pasma wyrwały się z tydek i ud Korrena, i zaczęły formować u jego podbrzusza ogromny fallus. Czarny, długi może na łokieć, z czubkiem zakończonym dwoma krótkimi, wijącymi się, cieńszymi pasmami, przyciągnął szybko ciało opętanego mężczyzny do skrępowanej kobiety. Ruchome końcówki szybko rozerwały jej granatową suknię i nie przestając młócić dookoła, weszły w kobietę, wciągając do środka całego demonicznego fallusa. Korren zaczął rytmicznie podrygiwać, raz wolniej, koncentrując się na zadawaniu cierpienia, raz szybciej, zaspokajając swą żądzę. Po paru minutach było po wszystkim. Mężczyzna, uśmiechając się szeroko przez cały czas, rozerwał resztki zakrwawionej sukni, wydarł z niej długie pasy i skrępował zgwałconej dziewczynie ręce. Przywiązał ją do belki podtrzymującej strop. Pasma czerni z powrotem wróciły na swoje miejsca w jego nogach.

Ulubieniec Śmierci zszedł schodami na dół, wyszedł z budynku i omijając zwłoki udał się w kierunku pomocnej bramy. Czasami, jakby od niechcenia, wykonywał którąś ręką gest, jak gdyby rozsiewał ziarno. Chwilę później, wskazane przez niego gestem siewcy budynki zaczynały płonąć zielonym płomieniem, wywołującym czarny, gryzący dym. Dazella Brownreedle ciągle krzyczała. Tak samo jak kiedyś jej matka. Prawie tak samo. Jej matka krzyczała ze szczęścia.

\* \* \*

Korren wyszedł z miasta przez roztrzaskaną bramę. Zdawał się ignorować nielicznych, którym udało się zbiec z miasta przed rzezią, obecnie ukrywających się za pobliskim pagórkem. Oni jednak na jego widok rzucili się do panicznej i beładnej ucieczki. Spokojnym krokiem podszedł do miejsca, w którym przywiązali swoje konie. Wybrał trzy. Sam dosiadł największego, poza białymi, skarpetkami całkowicie czarnego, a dwa pozostałe przywiązał luzem do siodła.

Spiął ostro swego wierzchowca i w tym momencie pasma czerni, ciągle spowijające jego postać, zaczęły się rozwiewać. Część z nich zdawała się wnikać w boki nagle spłoszonego zwierzęcia. Po chwili koń uspokoił się i ruszył galopem przed siebie. Jeździec ledwie utrzymał się w siodle. Jechał przerażony, trzymając się końskiej grzywy, a nie puścił się tylko dlatego, że bał się stratowania przez konie cwałujące za nim. Oba miały pianę na pyskach i prawie ludzki obłęd w swych zwierzęcych oczach.

Jechali tak może z godzinę, mijając rzadki i niski las, ciągnący się po lewej stronie. Dwa razy przejechali przez jakąś małą osadę, budząc strach wśród mieszkańców. Korrenowi wydawało się, że raz nawet kogoś stratowali. Zbielałymi dłońmi trzymał się grzywy i próbował ogarnąć myśli. W jego głowie, gdzieś na granicy słyszalności, daleko za tętentem kopyt i cichym, zasapanym rżeniem, rozbrzmiewała muzyka. Brzmiała jak zniekształcone pogłosem bezdennej studni ogromne dzwony, wygrywające pogrzebową melodię.

Po kolejnej godzinie Korren odczuł nagle mocne szarpnięcie, niemal wyrzucające go z siodła. Podniósł głowę i spojrzał za siebie. Padł koń przywiązany z lewej strony, lecz mocna skóra; z której wykonana była uprząż, wytrzymała szarpnięcie, o mało nie wrywając siodła spod jeźdźca. Wierzchowiec Korrena rwał się do przodu; kolejne pociągnięcie zerwało w końcu uzdę z martwego łba, popędzili znowu. Drugi luzak wyglądał, jakby za chwilę miał podzielić los swego towarzysza.

Jeździec zgarnął wiszące dotąd luźno wodze i wbił mocno pięty w końskie boki, nakazując zwierzęciu zatrzymać się. Koń stęknął i niechętnie stanął. Korner szybko z niego zeskoczył, lecz ugiął się na rozedrganych nogach i upadł wprost pod koński brzuch. Próbował jeszcze odruchowo zasłonić głowę przed opadającym kopytem. Wierzchowiec jednak nie kopnął go, lecz w połowie drogi do jego czaszki wykonał nogą ruch, jakby otrząsał się z czegoś. Wyciągnięta ręka nie była dostateczną obroną przed pasmami czerni, które oploty głowę leżącego człowieka. Korren leżał i krzyczał, gdy czarne niczym rozdarcie rzeczywistości węże gryzały się w jego oczy i gardło.

Wstał, otrząsał z siebie grudy ziemi, wilgotne od końskiego moczu. Był teraz znowu kimś innym. Przez spływające z oczu krwawe łzy widział wszystko niewyraźnie, lecz rozpoznał okolicę, w której się znalazł. Tak, był już tutaj. Cóż za ironia, trafić w pobliże chaty chłopa, który uratował jego. cielesną powłokę. Obiecałem mu kiedyś konia, pomyślał, więc konia dostanie. Korren stanął naraz prosty i dumny, pociągnął mocno nosem, wciągając wypływającą z niego krwawą wydzielinę, i zaczął się śmiać. Na ten głos miejscowy osiłek, skradający się do niego od tyłu, zapewne w celu ograbienia nieostrożnego przybysza,

rzucił pod nogi krótki, sękaty kij i zaczął uciekać ze spuszczoną głową, kuląc się w sobie niczym mysz zaatakowana przez kota.

Ulubieniec Śmierci chwycił konia za uzdę i pociągnął go w kierunku pustej chaty i dalej, do stajni. Tak, teraz był już pewien, że może stanąć przeciwko sile, którą oznaczały znaki nad odrzwiami. Z głośnym skrzypnięciem otworzył wejście i wprowadził tam swego wierzchowca. Podszedł aż pod przeciwległy koniec, przywiązał spienione i spocone zwierzę do belki podtrzymującej dach. Wysunął bardziej poza siebie czarne sploty i odwrócił się do wejścia. Tam ktoś był.

Stojąca naprzeciw niego postać ubrana była w ciemnogrnatową szatę, opinającą całe ciało, spiętą szerokim, złotym pasem. Wyciągnęła przed siebie lewą dłoń i wskazała na tego, który zwał się Korrenem de Brignac.

- Kami! Moriti! Preto! - powiedziała postać. Czarne zwoje, opasujące Ulubieńca Śmierci, nagle znikły.

- Mirto! Zwini! - kontynuowała zjawa, wyciągając przed siebie prawą dłoń i łącząc palce wskazujące.

Korren opadł na kolana.

- Satu! - W tej chwili, jak gdyby od silnego powiewu wiatru, zjawie zsunął się z głowy kaptur.

Korrenowi wydało się, że postać zamiast głowy ma kulę światła, silniejszego nawet od słońca w południe. Na moment odzyskał część wspomnień i postać ze świetlistą głową wydała mu się znajoma. Na pewno widział ją już wcześniej. Spróbował przyjrzeć się rysom jej twarzy, lecz nie wytrzymał natężenia światła i odruchowo zacisnął powieki. Światłość nie znikła od razu. Nieznośnie powoli, jak opadanie liścia z czubka drzewa, jasny blask zamienił się w czern. Tym razem zwykłą czern utraty świadomości. Już ludzkiej świadomości.

\* \* \*

Budził się długo. Jednostajny dźwięk ni to kropel, kapiących z wysokości na kamienną posadzkę, ni to odległych dzwonów, doprowadzał go do szaleństwa. Spróbował otworzyć oczy, lecz wydawały się czymś sklezione. Podniósł prawą rękę i przetarł je z jakiejś kruszącej się pod palcami substancji. Dopiero teraz je otworzył i rozejrzał się.

Leżał na zimnym kamiennym podwyższeniu, pośrodku dużej kwadratowej celi. Jedyne źródło światła stanowiło umieszczone w suficie małe okienko, przegrodzone grubą metalową kratą. Całe pomieszczenie pełne było rozpadających się, zdruzgotanych jakąś ogromną siłą mebli. Oglądając szczątki domyślił się, gdzie kiedyś stał stół, krzesła i szafy. Ostrożnie usiadł na tym, co kiedyś zapewne było łóżkiem. Wydawał się sobie dziwnie lekki. Podsunął przed zapuchnięte i zaropiałe oczy swoje ręce i gdzieś na wysokości żołądka chwycił go skurcz strachu. To, co ujrzał, wyglądało jak dłonie bardzo starego człowieka. Wstał i na drżących nogach obszedł całą celę. Na żadnej ze ścian nie znalazł drzwi. Pośrodku tej, przy której stały kiedyś jakieś półki, ujrzał głębokie ślady pazurów. W najbardziej oddalonym od pryczy rogu znajdowała się kloaczna dziura, podobnie jak okienko w suficie przegrodzona grubą kratą. O mało nie przewracając się na śliskim podłożu, wyszedł na środek pomieszczenia i spojrzął w górę. Światło docierające przez mały kwadratowy otwór nie było światłem słońca. Nad nim również znajdowało się pomieszczenie, a na poziomie jego podłogi stało kilkanaście zapalonych świec. Wszystkie były blade błękitne. Kropla rozpuszczonego wosku kapnęła mu na ramię. Syknął z bólu i odsunął się szybko. Dopiero teraz zdał sobie sprawę, że jest zupełnie nagi.

- Jest tam kto?! - zakrzyknął w kierunku światła i zaniósł się suchym kaszlem.

Nikt mu nie odpowiedział.

Zebrał kilka ocalałych desek i ułożył je na swojej pryczy. Usiłował znaleźć jakiś koc, lecz niczego takiego tu nie było. Dobrze że przynajmniej nie ma tu robactwa, pomyślał. Podciągnął kolana pod brodę i skulił się w samym rogu. Siedział tak kilka minut, a może kilka godzin. Całkowicie zatracił poczucie czasu. Kiedy pozycja stała się już na tyle niewygodna, że chciał znowu wstać, by rozprostować kości, dodatkowo głośnym burczeniem odezwał się jego żołądek.

- Przecież muszę coś jeść! - krzyknął ponownie w kierunku sufitu.

Tym razem zauważył jakieś poruszenie. Tak jakby znajdujące się powyżej świece zamigotały pod wpływem ciągu powietrza. Usłyszał nad sobą odgłos chrobotania metalem o metal, a później głośny zgrzyt otwierania ciężkich drzwi i zbliżające się kroki. Ktoś stanął w pomieszczeniu wyżej, nieopodal kwadratowej dziury, i zaczął wrzucać do jego celi jakieś przedmioty. Uwięziony dopiero po chwili rozpoznał w nich małe bochenki chleba i kawałki sera. Następnie ten ktoś u góry wylał na to wszystko wiadro wody. W kamiennych zagłębieniach pośrodku celi utworzyło się kilka małych kałuż.

- Jak mam to jeść? - zapytał na głos osadzony. - Dajcie mi jakiś koc. Kim jesteście?

Przez chwilę na górze nic się nie działo, a później dobiegło go ciche westchnienie, szybkie kroki i ponowny zgrzyt ciężkich drzwi.

Zsunął się z pryczy i podszedł w kierunku zrzuconego mu z góry jedzenia. Podniósł chleb i powąchał go. Mimo że był teraz cały mokry, nie wydawał się ani spleśniały, ani czerstwy. Ugryzł go i zaczął powoli żuć. Robił to delikatnie i powoli. Bolały go, dziąsła. Gdy zabierał się do drugiego kęsa, ponownie dobiegł go dźwięk otwieranych na górze drzwi i kroki. Tym razem było ich więcej. Przełknął nie do końca przeżuty kawałek chleba i odsunął się z powrotem w kierunku pryczy.

- Kim jesteś? - dobiegł go męski głos.

- Kim wy jesteście? Czemu mnie tu trzymacie? - odpowiedział więzień.

- Kim jesteś? Od tej odpowiedzi zależy twoje życie.

Zapadła cisza. Uwieczony próbował sobie przypomnieć, kim jest, by tylko odpowiedzieć swemu katowi, by mieć nadzieję, że cały ten koszmar się skończy. Nie umiał sobie przypomnieć nic sprzed ostatniego obudzenia.

- Nie... nie wiem... - powiedział cicho, bardziej nawet do siebie.

Na górze dało się słyszeć jakieś ściszone rozmowy i ponowne szybkie kroki kogoś wybiegającego i wracającego. Tym razem krokom towarzyszyło brzęczenie. Potem nastąpiło kilka cichych zgrzytów i kwadratowy cień kraty poruszył się i zniknął. Z sufitu opuściła się drabina.

Zszedł po niej wysoki, postawny mężczyzna, ubrany w błękitny płaszcz. Gdy tylko postawił stopy na mokrej posadzce, z góry ktoś podał mu pochodnię. Mężczyzna ponownie wspiął się na kilka szczebli drabiny i odpalił ją od świec. Trzymając ją w jednej ręce, a w drugiej niesiony do tej pory na łańcuchu na piersiach symbol, podszedł do więźnia.

- Masz, załóż to - powiedział, podając mu ciężki metalowy przedmiot.

Mężczyzna wziął go do ręki i zaczął oglądać. Sam kształt nie kojarzył mu się z niczym. Rozplatał palcami srebrny łańcuch i założył go sobie na szyję.

- Kim jesteś? - zapytał ponownie mężczyzna w błękicie.

- Naprawdę nie wiem... Nie pamiętam... Przybyły mężczyzna uklękł na jedno kolano i opuścił głowę.

- Nie bój się. Pamięć ci wróci. Chodź ze mną teraz ku światłu, o Wybrany.

\* \* \*

- Spędziłeś w Komnacie Oczyszczenia prawie dwanaście lat, o Wybrany, zanim Zło opuściło cię na dobre. Jesteś już teraz bezpieczny. Zło nigdy więcej nie dotknie twego ciała ni twjej duszy.

Siedzieli w dużej, ośmiokątnej, wysokiej sali, przy starym stole, wykonanym z ciemnego drewna. Poza stołem i krzesłami w pomieszczeniu nie było innych mebli. Nad drzwiami i każdym z ośmiu okien paliły się olejowe lampy, od których roznosił się delikatny zapach lawendy. Pośrodku stołu stał bogaty, srebrny świecznik, w którym paliło się dziewięć grubych błękitnych świec. Ten, którego nazywali Wybranym, siedział naprzeciwko trójki innych ludzi, wszystkich ubranych na niebiesko, choć w różnych odcieniach.

- Kim jestem? - Spojrzał na swe żylaste, czyste już ręce i na swą białą szatę, zdobioną złotymi i błękitnymi nićmi, w którą ubrano go, nim go tu przyprowadzono.

- Kiedyś byłeś jednym z nas. Byłeś najsilniejszy. Miałeś największą wiarę - odezwał się siedzący pośrodku, ubrany w najjaśniejszą szatę.

- Czemu zatem nic nie pamiętam?

- Wziąłeś na siebie ogromne brzemię. Zgodziłeś się poświęcić za naszą wspólną sprawę, choć wiedziałeś, że możesz to przypłacić nawet swym życiem. Na szczęście Pan Światła był dla nas i dla ciebie łaskawy.

- Jak nazywałem się, gdy byłem jednym z was?

- Nadal jesteś jednym z nas. Nazywałeś się Tomas. Tomas z Deszczu Kowadeł.

- Tomas... - przez chwilę jakby smakował to słowo, wypowiedziane własnymi ustami. - Tak, znam to imię.

- Jeśli Pan Światła pozwoli, niedługo przypomnisz sobie wszystko.

- Czy wypełniłem swe zadanie?

- Tak. Wypełniłeś swoją misję.

- Co to była za misja, skoro o mało nie postradałem przez nią zmysłów.

- Wolelibyśmy teraz nie mówić ci o niej, przynajmniej dopóki nie przypomnisz sobie wszystkiego. Pamiętaj jednak, że to ty byłeś pomysłodawcą tego przedsięwzięcia. Obawiam się, że gdybyśmy

powiedzieli ci o wszystkim teraz, mógłbyś nic nie zrozumieć, albo, co gorsza, zrozumieć wszystko opacznie. Mógłby to być dla ciebie wielki cios.

- Czy nadal jestem waszym więźniem?

- Nie, oczywiście że nie.

- Czy mogę więc w każdej chwili odejść z tego miejsca? Napawa mnie ono wątpliwościami. Nie potrafię powiedzieć czemu, lecz czuję, że powinienem być teraz gdzie indziej.

- Tak, możesz. Wolelibyśmy jednak, byś pozostał między nami przynajmniej na czas, dopóki nie odzyskasz w pełni sił i nie poprawisz stanu zdrowia. Być może także wróci ci pamięć, a wtedy nie będziesz chciał nas opuszczać.

- Być może... Nie czuję się jednak słaby... Lecz dobrze, zostanę tu kilka dni. Jak nazywa się to miejsce?

- Jesteśmy teraz w świątyni Pana Światła. Najstarszej i największej w całym królestwie. Świątynia znajduje się niespełna dzień marszu od miasta Kamienny Łuk. Byłeś tu Najjaśniejszym Kapłanem i jako jedyny miałeś prawo chodzić w bieli. Przewodziłeś nam wszystkim i mam nadzieję, że będzie tak znowu.

Tomas milczał długą chwilę.

- Nic nie będzie takie jak kiedyś - powiedział i energicznie wstał.

\* \* \*

Ubrany w granatową szatę, zapewne jeden z ostatnich kapłanów odprowadził go do pokoju. Tomas wszedł, rozejrzał się powoli, odprawił grzecznie przewodnika, przysunął jedno z dwóch krzesel do okna i usiadł na nim. Rozsunął grube białe zasłony i otworzył okiennice. Z okna roztaczał się widok na część podwórca i stojącą na nim, parterową, właściwą świątynię. Jej dach wykonany był z wypolerowanej blachy, odbijającej teraz nikłe światło gwiazd. Siedział tak i wpatrywał się to w kopułę, to w gwiazdy, starając się nie myśleć o niczym. Zmęczony położył się spać dopiero wtedy, gdy na horyzoncie pojawiła się luna wschodzącego słońca.

Nikt nie przerywał jego snu. Dwukrotnie tylko, o świcie i w południe, cicho wszedł któryś z kapłanów i sprawdził, czy Tomas już się nie obudził i czy czegoś mu nie brakuje. On jednak przespał cały dzień i zbudził się dopiero godzinę po zachodzie słońca. Śnił mu się koszmarny sen, w którym wydawało mu się, że jakaś świetlista postać usiłuje wrzucić go do dołu pełnego jadowitych węży.

Wstał z łóżka i rozmasował obolały bark. Usiadł na krześle i ze zdziwieniem stwierdził, że ciągle jest noc. Przez moment przebiegł go dreszcz strachu. Okiennice jednak były zamknięte, więc złe przecucie przysło. Ze stojącej na stole karafki nalał sobie do kubka czystej wody i wypił ją, głośno przełykając. Wyszedł do przedsionka, umył w misie twarz i ręce. Wylał je w płócienny ręcznik i wyszedł na korytarz.

Na końcu korytarza paliła się tylko jedna olejowa lampa. Poszedł w tamtym kierunku. Tak jak się spodziewał, lampa oświetlała wyjście z budynku. Przypuszczał, że drzwi wejściowe będą skrzypieć, dlatego otworzył je powoli. Wyszedł na podwórze, podszedł kilkanaście kroków w kierunku właściwej świątyni, zatrzymał się i zaczął rozglądać. Nie zdziwił się, że wystarczyło mu do tego tylko nikłe światło gwiazd. Nie pamiętał, że powinno być inaczej.

Gdy tak wpatrywał się w niebo, zauważył spadającą gwiazdę. Wykreśliła na nieboskłonie jasną kreskę. Jednak jej błysk nie był tak krótki jak innych, jej poświata została na niebie. Tomas zamrugał oczami raz i drugi, spojrzał w innym kierunku i wrócił wzrokiem na poprzednie miejsce. Jasna kreska, zakończona jaśniejszą kropką, nadal tam była. Dopiero po chwili zdał sobie sprawę, że zrobiło się nienaturalnie cicho. Znikło gdzieś granie świerszczy i pohukiwanie nocnych ptaków. Spojrzał na światło zawieszony na podwórzu lampy. Jej płomień nawet nie drgnął. Czas się zatrzymał.

Stał tak przez chwilę zdezorientowany i rozglądał się powoli, obracając się na pięcie. Coś się jednak ruszało. Delikatny blask dobiegający z głównej świątyni jak gdyby zmieniał swój kolor. Tomas powoli podszedł do drzwi i dotknął zimnej, żelaznej klamki. Szarpnął ją mocno, lecz ta ustąpiła prawie bez oporu. Pociągnął za uchwyt i po chwili jedna strona ciężkich drzwi była już otwarta. Dobywające się ze środka światło było mleczno blade i zdawało się wypełniać sobą wnętrze niczym mgłą. Tomas wysunął przed siebie dłoń i zanurzył ją w tym osobliwym zjawisku. Nic się nie stało. Wszedł.

Przeszedł krótki korytarz i dotarł do dużej, okrągłej sali. Tu wszechogarniający blask zdawał się pulsować w większym zakresie kolorów. Rozejrzał się, lecz światło jakby rozmywało kontury dalej położonych obiektów. Tomas podszedł do umieszczonego naprzeciwko głównego wejścia ośmiokątneho ołtarza. Świece, zapewne zazwyczaj stojące w małych, owalnych zagłębieniach, umieszczonych przy każdym rogu, teraz leżały bezładnie rozrzucone na jego środku. Mogły też w tej pozycji tworzyć jakiś rodzaj symbolu.

Tomas obejrzał się za siebie, po czym, upewniwszy się, że jest sam, sięgnął ręką ku najbliższej, gdy nagle do jego uszu dotarł głośny krzyk. Podobny był do głosu zawodzącej kobiety lub dziecka. Głos dochodził zza, albo raczej spod kamiennego ołtarza. Tomas obszedł regularny ośmiokąt i stanął w miejscu, gdzie zapewne stawali kapłani podczas odprawiania rytuałów. W dolnej części ołtarza dostrzegł duży, kwadratowy otwór, zaczynający się tuż poniżej górnej powierzchni i kończący się na poziomie podłogi. Kucnął i ostrożnie zajrzał do środka. Otwór miał dwa łokcie szerokości, a wysoki był na tyle, by Tomas zmieścił się w nim, idąc tylko lekko przygarbiony. W środku znajdowały się schodzące stromo w dół schody. Krzyk powtórzył się, tym razem jeszcze głośniejszy. Nie był to głos, jaki wydają z siebie ludzie podczas tortur czy cierpienia, ale raczej zawođenje, podobne głosom płaczek. Tomas postawił nogę na pierwszym stopniu, upewnił się, że droga nie jest zbyt śliska, i zaczął schodzić. Światło na ścianach wąskiego korytarza zdawało się tętnić coraz jaskrawszymi i wyraźniejszymi kolorami.

Dziewiętnaście kroków niżej znajdował się wąski, schodzący lekko tylko w dół, korytarz. Na jego przeciwległym końcu były kiedyś drzwi. Teraz świadczyły o tym tylko metalowe okucia, nadal trzymające się zawiasów, i połamane deski, zaścielające podłogę. Tomas przeszedł po nich ostrożnie, tak jakby uważał na to, by nie wywołać żadnego dźwięku. Za drzwiami znajdowała się mała sala. Tomas zauważył kilku kapłanów, zastygłych w połowie ruchu. Ominął ich i przyjrzał się czemuś, co stało na środku pomieszczenia. Gdy podszedł nieco bliżej, zdał sobie sprawę, że słowo „stało”, to złe określenie. Na wysokości może stopy ponad podłogą wisiała, skulona w pozycji embrionalnej, naga nastoletnia dziewczyna. Jej długie włosy były proste i zupełnie siwe. Umieszczona była w świetlistej kuli. To właśnie ów kokon emanował różnokolorowym światłem. Tomas podszedł bliżej i ukucnął, próbując dostrzec rysy twarzy uwięzionej. Jego ciało przeszło dreszcz przerażenia. Aż rzuciło nim o podłogę, gdy dziewczyna podniosła szybko głowę i wbiła w niego wzrok.

- Wiele czasu zajęła ci droga do mnie - powiedziała. Jej głos był wysoki i skrzeczący.

- Kim...? Kim jesteś? - zapytał, próbując wstać.

- Przecież wiesz... - uśmiechnęła się szeroko, odkrywając dwa rzędy ostrych jak brzytwy zębów.

- Nie... nie wiem - Tomas lekko pokręcił głową.

- Chcesz tak stać i się gapić? Czy może w końcu mi pomożesz, tato? - przechyliła mocno głowę w lewą stronę. Zrobiła to tak szybko, że nie zdążył nawet zauważyć ruchu.

- Jak...? Dlaczego mam ci pomagać? Kim... czym ty jesteś? Dlaczego mówisz do mnie „tato”? Nie jestem twoim ojcem! - ostatnie słowa prawie wykrzyczał.

- A więc wymazali ci pamięć, dziadku. Niedobrze, niedobrze. Pomóż mi się stąd wydostać, a ja pomogę ci ją odzyskać - powiedziała, tym razem wykonując podobnie szybki ruch głową, lecz w drugą stronę.

- Dlaczego „dziadku”? Tylko tak mnie nazywasz, prawda?

- Nie przedłużaj, tato, nie naginaj mojej cierpliwości. Może wymazali ci pamięć, ale na pewno nie stałeś się głupcem.

- Kto mi wymazał pamięć? Dlaczego?

- Oni! Ci wszyscy, którzy tu stoją. Musisz ich zabić. Dobrze wiesz, jak to się robi, prawda? - przy wypowiedzianiu ostatniego słowa spojrzała mu w oczy. Spojrzenie było tak silnie hipnotyzujące, że Tomas nie mógł oderwać wzroku od jej oczu ani nawet mrugnąć.

Jej źrenice drażyły go coraz głębiej, aż nagle poczuł, że coś w jego wnętrzu puszcza i umysł zalała fala wspomnień. Tak samo zatrzymany czas, seria demonicznych morderstw i cała droga jego ucieczki z więzienia w górach, znaczone krwią setek ludzi.

- Tak, tak właśnie. Wiesz dobrze, jak się zabija bezbronnych - powiedziała, odrywając nagle od niego wzrok. Zaczęła się śmiać. Jej głos był skrzekliwy, choć dość niski. Równie nagle śmiech ustał. - Zabij, zabij tych, którzy cię, do tego zmusili!

Tomas ocknął się jak z letargu, spojrzał na swoje ręce, na stojących, zatrzymanych w czasie kapłanów, i podszedł do pierwszego z nich. Złapał go za szyję i ścisnął z całej siły. Wszystko przez moment drgnęło i poruszyło się. Głowa kapłana zwisała bezwładnie, lecz ciało nie zdążyło upaść nim czas znowu się zatrzymał.

- Jesteś Złem, zaburzasz równowagę - powiedziała dziewczyna w kierunku zawieszonych nad podłogą zwłok.

- Jak mam cię uwolnić? - zapytał Tomas, gdy zamordował już wszystkich obecnych w sali kapłanów.

Sama to zrobię - uśmiechnęła się i wyprostowała. Gdy tylko jej stopy dotknęły dolnej, a głowa górnej krawędzi świetlistego kokonu, ten rozpadł się i zniknął, niczym szybko rozpuszczający się w powietrzu lód.

- Czy oni wzięli cię tu swoją mocą? - spytał Tomas. - Dlatego musiałem ich zabić?

- Nie ma na tym świecie potęgi, która mogłaby mnie uwięzić.

- Więc zabiłem ich za nic?

- Zabiłeś ich, ponieważ posiadli zbyt wielką wiedzę. Nie wolno im było jej użyć. Wbrew swej woli, ty byłeś ich narzędziem. Nie mogłam na to pozwolić.

- Dlaczego zatem mnie nie zabili, kiedy stałem się im niepotrzebny?

- Ależ dziadku, ciągle byłeś im potrzebny - uśmiechnęła się, ponownie ukazując ostre zęby i powoli zaczęła sunąć w jego kierunku. Jej stopy nie dotykały podłogi.

- Do czego? - spytał Tomas i odruchowo zaczął się przed nią cofać.

- Chcieli cię jeszcze sparować ze mną. Dopiero to ukończyłoby ich dzieło. - Jej oczy nagle zabłyły zimną bielą i zaczęła sunąć w jego kierunku nieco szybciej. - I muszę przyznać, że to wcale nie byłby taki zły pomysł.

Tomas właśnie rozpoczynał krzyk, gdy nagle zdał sobie sprawę, że ma usta zatkane. Sprzed jego oczu znikła cała sala, a pojawił się sufit. W dużej mierze przesłonięty ciałem dziewczyny. Błyskawicznie spojrzał na jej błyszczącą bielą twarz, małe piersi ze sterczącymi sutkami, kolorem nie różniące się od reszty ciała, płaski brzuch, poprzecinany splotami mięśni i niżej, w miejsce jej kobiecości. Kończyła właśnie ruch jak gdyby kucała. Ze zgrozą zauważył, że sam jest nagi, a jego wyprężony członek wchodzi właśnie w jej ciało. Chciał dokończyć zaczęty krzyk, lecz usta miał zatkane jej ręką.

- Zapomniałeś, tato, że to ja rządę czasem - wydyszała, oblizując swe blade wargi długim językiem.

Tomas przysiągłby, że jej język był rozdwojony na końcu i cały czarny.

Podczas kolejnej minuty najbardziej na świecie chciał stracić przytomność. Udałoby mu się to zapewne, gdyby nie jej wzrok, ponownie hipnotyzujący, pełen pożądania i chuci, ale także współczucia i smutku. Siedziała na nim okrakiem, ciągle zatykając mu usta dłonią, jej ruchy były ostre, gwałtowne, bardzo szybkie. Mimo całego obrzydzenia, które czuł do tej istoty, nie potrafił zapanować nad swoim ciałem i jego podnieceniem. Doszedł do szczytu bardzo szybko i gdy wstrząsnął nim spazm rozkoszy, ona zdjęła rękę z jego ust i pocałowała go. Tym razem udało mu się zacisnąć oczy. Jej usta były słodkie niczym wiosna, budząca do życia pierwsze kwiaty.

Zemdlał.

\* \* \*

Śniło mu się, że jest chłopcem, płynącym na małej tratwie rzucanej po morzu przez ogromny sztorm. Kurczowo trzymał się resztek tego, co kiedyś było masztem. Raz po raz zalewała go ogromna fala. Któraś z kolei była tak ogromna, że znajdował się pod wodą tak długo, aż zaczął się dusić. Gdy jego płuca nie wytrzymały, zachłystnął się wodą. Wtedy się obudził.

Natychmiast otworzył oczy i usiadł. Świtało. Siedział nagi, na pełnej nieznanym mu kwiatów łące. Rozejrzał się i dostrzegł swoje ubranie, Leżało złożone równo tam, gdzie śpiąc miał głowę. Wstał i ubrał się. Poranek był chłodny i jego ciałem raz za razem wstrząsał dreszcz. Podskoczył w miejscu kilka razy, pomachał rękami, klepiąc się po ramionach.

- Widzę, że już wstałeś, Tomasie - doszedł go nagle głos. Odwrócił szybko głowę w kierunku, z którego dochodził. Nie było tam nikogo.

- Nie rozglądaj się, Tom. Mogę tak do ciebie mówić, prawda? Nie zobaczysz mnie.

Tomas odruchowo znowu skierował wzrok w miejsce, z którego dochodził głos. Znowu nie zobaczył nikogo.

- Kim jestem? Czemu cię nie widzę? Gdzie jestem? Co to za miejsce? Czy umarłem? Kim ty jesteś? - wyrzucił szybko z siebie, tonem zaciekawionego dziecka.

Głos zaśmiał się. Przyjacielsko.

- Nie tak szybko. Nie wszystko na raz. Po kolei. Kim jesteś? Oto twoja pamięć.

Pustka w głowie Tomasa wypełniła się powoli jak lampa olejem. Przypomniawszy sobie wszystko. Swoje dzieciństwo. Przepowiednię kapłanów, że zostanie najwyższym z nich. Swoje wstąpienie na naukę do świątyni Pana Światła. Wszystko, za co był chwalony i awansowany, zawsze przed innymi. Swoją pierwszą wizję, w której objawił mu się sam Pan Światła i poprosił go, by został jego apostołem. Wszystkie przygotowania i sam rytuał, podczas którego doznał oświecenia i połączył się z boską istotą.

Przypomniawszy sobie pierwsze zadanie, podczas którego, z pomocą swego boga, pokonał Ulubieńca Śmierci, niszczącego wszystko i zabijającego wszystkich. Potwora, któremu nikt nie mógł się oprzeć.

Przypomniawszy sobie drugie zadanie. Odnalezienia kobiety o czystym sercu, głęboko wierzącej i nie bojącej się śmierci. Kobiety, z którą podczas rytuału potrójnego zjednoczenia spłodził dziecko. Miał się nią i jej potomkiem opiekować i bronić jej przed dostępem Ciemności.



Przypomnił sobie swój powrót z nią do świątyni, by zapewnić jej najlepszą ochronę. I chwilę, w której Pan Światła go opuścił i pozostawił samego.

Przypomnił sobie dzień, w którym świątynia została zaatakowana, a on sam wzięty do niewoli i zamknięty w górskich jaskiniach, przerobionych na więzienie. Przypomnił sobie wszystkie tortury, którym był poddawany. I dzień, gdy się załamał i poddał.

Przypomnił sobie, jak wtedy wyrzekł się Światła i gotów był, w zamian za uwolnienie, zaprzysiąc się nawet Śmierci. I przypomniał sobie, jak Śmierć go wysłuchała. Jak uciekł i spłodził jej potomka, z własną córką, będącą Córką Światła. I jak w stajni spotkał samego siebie sprzed dwudziestu lat.

Przypomnił sobie wszystko. Do jego oczu napłynęły łzy. Usiadł.

- Czemu mnie nie widzisz? - ponownie odezwał się głos.- Widziałeś mnie już nie raz. Co prawda za każdym razem wyglądałem inaczej, lecz to zawsze byłem ja. Wszystkie te postacie są prawdziwe, a jednocześnie żadna z nich nie jest moją własną. Ja w tym świecie nie mam postaci. Nie jest mi do niczego potrzebna.

- Czyja...?

- Czy umarłeś? Nie. Nadal masz ciało, nadal oddychasz, ale nie jesteś też żywy. Jeszcze nie. Co to za miejsce, zapytałeś - kontynuował głos. - To jest miejsce początku i końca. Twój świat zaczął się bez ludzi i tak samo się skończy. Ciebie to jednak nie dotyczy.

- A ty? Kim ty jesteś?

- Przecież wiesz, Tom - głos brzmiał bardzo ciepło. Te same słowa. Przed oczami stanęła mu nagle postać dziewczyny w podziemiach świątyni. Dziewczyny, która była jednocześnie jego córką i wnuczką.

- Nie. Nie jestem nią - głos czytał w jego myślach. - Ona była tylko moim posłańcem, choć kapłani uważali ją za kogoś innego. Głupcy. Głupota nie jest nawet chaosem, a oni uważali się za przedstawicieli Światła. Głupota jest zaprzeczeniem natury. A mnie nie można bezkarnie przeczyć - głos zamilkł. - Co czujesz, Tom? - odezwał się po chwili.

- Nie wiesz, co czuję? - Tomasz wydawał się być zdziwiony.

- Oczywiście, że wiem, Tom. Przecież znam cię tak dobrze. Chcę tylko, byś sam mi to powiedział.

- Czuję... Czuję, że jest mi smutno, a jednocześnie jestem szczęśliwy. Chce mi się płakać i śmiać jednocześnie. I... tańczyć?

- Tańczyć. Taniec to bardzo przyjemna rzecz. Taniec jest jak ptasie zaloty i jak fala na oceanie. Jak góra, która pluje ogniem, i jak wyskakujące nad wodę delfiny. Tak, Tom, to dobrze, że chcesz tańczyć. Będziesz mógł tańczyć, gdy urodzi się nowy lis i gdy umrze ostatni z wilków. Chcesz już iść?

- Gdzie mógłbym iść? Jest dla mnie jakieś miejsce?

- Tom, możesz iść wszędzie, w każde miejsce na tym świecie. Bez strachu i bez pogardy. To jest teraz twój świat. Chciałbym, żebyś wziął te kwiaty, które rosną pod twoimi nogami. Weź je ze sobą i zasadź gdzieś nad wodą, pośród drzew. To są kaczeńce.

Tomasz kucnął i nabrał dużą garść kwiatów, wyjmując je z ziemi z całymi korzeniami. Nie sprawiło mu to żadnego problemu, tak jakby rośliny go słuchały. Pogłaskał je po łodygach.

- Idź prosto przed siebie, aż dojdiesz do strumienia. Po jego drugiej stronie jest już świat, który znasz.

- Pójdę. - Tomasz przez chwilę się wahał, jakby chciał coś jeszcze dodać, lecz zdał sobie sprawę, że nie ma już nic, co mógłby powiedzieć. Z początku szedł, lecz po chwili zaczął biec, podskakując.

- Jeszcze jedna rzecz, Tom - głos dobiegł go ponownie z tyłu, lecz Tomasz nie odwrócił się, ani nie zwolnił tanecznego kroku. - Są jeszcze inni. Nie będziesz sam.

**Andrzej „Soulless” Kozakowski**